Filozofia Nauki
Rok VIII, 2000, Nr 1(29)

Tadeusz Skalski

«Strategia magiczna» i... pomost ku ludzkiej mowie

Krytyczne uwagi Pani Profesor Zdzisławy Piątek (*Filozofia Nauki*, 1—2/1999) na marginesie mego eseju „Koty, demon, zaklęcia i... naturalizacja" *(Filozofia Nauki,* 1/1998) uświadomiły mi, że nie jest on napisany wystarczająco jasno. Ktoś, kto miał cierpliwość zapoznać się z oboma tekstami mógłby odnieść wrażenie, że oto doszło do «starcia» między zwolenniczką nauk szczegółowych i postępu, a zaprzysięgłym entuzjastą nadprzyrodzonych mocy i tajemnej księgi zaklęć. Nie jestem rzecznikiem prasowym Czarnoksiężnika z Archipelagu i nie chciałbym dłużej występować w tej roli (choć miano „uroczego oszusta" bardzo mi pochlebia). Sądzę, że różnice zdań pomiędzy Panią Profesor Piątek a mną są w znacznej mierze iluzoryczne i że spowodowane zostały nie dość jasnym posługiwaniem się określeniem *strategia magiczna.* Obiecuję, że tym razem będę się wyrażał precyzyjniej, a przykłady, którymi się posłużę wzbudzą mniej wątpliwości oraz — niech mi wolno mieć tę nadzieję! — irytacji. Niniejszy tekst jest więc nie tyle polemiką z polemiką, co raczej próbą naprawienia błędów popełnionych za pierwszy razem.

Niech paradygmatycznym przykładem strategii magicznej będzie to, co robi zaklinacz deszczów. Punktem wyjścia dla zaklinacza deszczów jest jasno określone i sprecyzowane życzenie. Chce on — taka jest właśnie treść jego życzenia — aby chmura nadeszła w określone miejsce o określonym czasie i aby spadła określona ilość deszczu; nie za dużo, nie za mało. Zaklinacz deszczów dobrze reprezentuje magię (tak to rozumiałem i rozumiem) nie z tego powodu, że nie dysponuje odpowiednimi środkami, ale dlatego, że jest typowym przedstawicielem tzw. *myślenia życzeniowego.* On nie próbuje badać przyrody, odkrywać praw i na tej podstawie *przewidywać* gdzie, kiedy i ile spadnie deszczu. Nie interesują go stan ciśnień i temperatura. On ma życzenie i chce, żeby się spełniło. Ma się tak stać i koniec. Zaklinacz deszczu nie zamierza jednak biernie czekać. Gdyby nic nie robił, to jego życzenie na pewno

by się nie spełniło. Przyroda potoczyłaby się swym torem i deszcz spadłby w innym miejscu i o innym czasie. Trzeba więc zmienić naturalny bieg przyrody — myśli zaklinacz deszczów — a środek, którym się posłuży będzie język. Taki jest — moim zdaniem — punkt widzenia zaklinacza.

Ponieważ wyraźnie chcę uchwycić pewne analogie, muszę być rozwlekły. Spróbujmy wyobrazić sobie zaklinacza deszczów przy pracy. W każdym razie cel i środki są jasno określone. Celem jest deszcz, a narzędziem pracy — język. Zaklinanie, to ciężkie i wyczerpujące zajęcie; zwłaszcza, że bynajmniej nie zanosi się na deszcz. Nasz bohater wierzy jednak w to, że jeżeli wytworzy przy pomocy aparatu artykulacyjnego odpowiedni egzemplarz odpowiedniego zdania, to bieg przyrody odmieni się i chmura nadejdzie w upragnione miejsce. Jest on przeświadczony, że egzemplarze zdań języka, którym zamierza się posłużyć — języka magicznego — mają w sobie taką moc! Załóżmy, że pierwsze egzemplarze wytwarzane są nadzwyczaj starannie, ale w tonie raczej neutralnym. Właściwie powinna wystarczyć sama sekwencja odpowiednich dźwięków wyemitowanych w odpowiedniej kolejności. Niestety, nie przynosi to oczekiwanego rezultatu. Czy na tym koniec? Bynajmniej. Zaklinacz deszczów nie załamuje się tak szybko. Być może zaklęcie nie zostało jednak wymówione w odpowiedni sposób. Należy spróbować jeszcze raz, a potem raz jeszcze. Nasz bohater nie robi zresztą w kółko tego samego. Eksperymentuje z głosem. Wymawia jedno i to samo zaklęcie głośno, szeptem, w tonie groźby, prośby, pretensji itd. Być może — jeśli jest nowatorem — spróbuje coś zmienić w składni. Gdybym miał krótko opisać *taktykę* zaklinacza (sprzężoną z jego magiczną strategią) to nazwałbym ją *molestowaniem chmur* przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków.

Spróbujmy spojrzeć na magię w następujący sposób. Magia to najambitniejszy program badawczy, jaki kiedykolwiek powstał na tej planecie. Jego celem było sterowanie materialną przyrodą przy pomocy języka lub — jeśli ktoś woli tak to opisać — przy pomocy odpowiednio spreparowanych ciągów dźwięków.

Strategia magiczna przez wiele tysięcy lat współistniała ze strategią naukową. W tym czasie próbowano strategii magicznej w odniesieniu do najrozmaitszych obiektów i zjawisk — wschodów i zachodów słońca, wybuchów wulkanów, chorób zakaźnych i urodzajów. W strategii magicznej kluczową rolę odgrywał język. Prośby, groźby, życzenia i modlitwy formułowano zawsze w jakimś języku. Można się domyślać, że w ten sposób powstawały całe kody językowe, systemy tajemnych zaklęć, przekazywane kolejnym pokoleniom szamanów i czarnoksiężników i stopniowo doskonalone. Aby w udany sposób posłużyć się pewnym zaklęciem nie wystarcza znajomość składni, trzeba je jeszcze odpowiednio wymówić — szeptem, w tonie prośby, groźby lub głośno skandując; niekiedy jedno i to samo zaklęcie trzeba wymówić kilka razy.

Miliony wypróbowanych kombinacji, nieprzeliczone próby i eksperymenty z fonetyką, gramatyką, barwą głosu... wszystko na nic. Materialna przyroda okazała się głucha na prośby, groźby i zaklęcia — zarówno na te artykułowane szeptem, jak i te, które były wymawiane głośno i wielokrotnie, w tonie groźby lub pretensji. Najambitniejszy program badawczy w dziejach ludzkości załamał się. Jedyne, co pozostało po

nim w spadku, to opowieści o czarnoksiężnikach i zaginionej księdze tajemnych zaklęć. Strategia naukowa z czasem (trwało to wiele tysięcy lat) wyparła nieomal całkowicie strategię magiczną. Piszę „nieomal całkowicie", gdyż już za chwilę podam przykład udanego posłużenia się strategią magiczną.

Załóżmy, że dzisiaj jest wtorek i że dokładnie za tydzień, a więc znowu we wtorek, punktualnie o godz. 10 rano mam się pojawić w określonym miejscu i poinformować zebranych tam ludzi, że posiedzenie senatu zostało odwołane. Załóżmy dalej, iż właśnie dowiaduję się, że (z ważnych powodów rodzinnych) nie będę mógł tego zrobić. Zaczynam się rozglądać za kimś, kto mógłby mnie zastąpić. Okazuje się, że wszyscy moi znajomi są w tym czasie pilnie zajęci. Postanawiam więc wreszcie zwrócić się do bliżej mi nieznanego pana X.

Przyjrzyjmy się teraz dokładniej mojej *sytuacji poznawczej*. Jest ona, moim zdaniem, taka sama jak sytuacja poznawcza zaklinacza deszczów. Tak więc punktem wyjścia jest dla mnie jasno określone i sprecyzowane życzenie. Chcę — taka jest właśnie treść mego życzenia — aby «moja chmura» nadeszła w określone miejsce o określonym czasie i aby wyartykułowała określone dźwięki; nie za dużo, nie za mało. Dokładnie: *Posiedzenie senatu zostało odwołane*. Uważam, że dobrze reprezentuję magię (tak to rozumiałem i rozumiem) nie z tego powodu, że nie dysponuję odpowiednimi środkami, ale dlatego, że jestem typowym (równie dobrym jak zaklinacz) przedstawicielem myślenia życzeniowego. Ja nie próbuję badać przyrody, odkrywać praw nią rządzących i na tej podstawie przewidywać gdzie, kto, kiedy i jakie dźwięki wyemituje. Nie interesuje mnie stan neuronów i synaps w głowie pana X. Ja mam życzenie i chcę, żeby się spełniło. Ma się tak stać i koniec. Nie zamierzam jednak biernie czekać. Gdybym nic nie zrobił, to moje życzenie na pewno by się nie spełniło. Przyroda potoczyłaby się naturalnym torem i pan X w najbliższy wtorek o godz. 10 byłby w innym miejscu i wypowiadałby inne słowa. Trzeba więc zmienić naturalny bieg rzeczy — myślę — a środek, którym się posłużę będzie język. Taka jest moja sytuacja poznawcza i taki jest — wydaje się — mój punkt widzenia.

Co dalej? W każdym razie cel i środki są jasno określone. Celem jest określone, zdeterminowane przez treść mego życzenia zachowanie pana X, a środkiem — język. Chwytam więc za słuchawkę telefonu i wykręcam odpowiedni numer. Zaklinanie to ciężkie i wyczerpujące zajęcie; zwłaszcza, że zupełnie nie znam pana X; być może zwykł on we wtorki o godz. 10 chadzać do kina, słuchać muzyki itd. Wierzę jednak w to, że jeżeli wytworzę odpowiednie egzemplarze odpowiednich zdań, to bieg rzeczy odmieni się i moja chmura nadciągnie w określone miejsce i zachowa się w określony sposób. Jestem przeświadczony, że egzemplarze zdań języka, którym zamierzam się posłużyć — języka polskiego — mają w sobie taką moc! Załóżmy, że pierwsze egzemplarze wytwarzam starannie, ale w tonie raczej neutralnym. Właściwie powinna wystarczyć odpowiednia sekwencja dźwięków wyemitowanych w odpowiedniej kolejności — niejednokrotnie przecież wystarcza i mam pod tym względem wiele pozytywnych doświadczeń. Niestety, tym razem nie przynosi to oczekiwanego rezultatu. Ja jednak nie rezygnuję tak szybko. Należy spróbować jeszcze raz, a potem

raz jeszcze. Nie robię zresztą w kółko tego samego. Mówię głośno lub szeptem; przemawiam w tonie groźby, pretensji, obietnicy; zmieniam barwę głosu i szyk wyrazów itd. itd. Mówiąc krótko, molestuję pana X przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków. Jeżeli to wszystko okaże się nieskuteczne, to spróbuję handlu i obiecam panu X coś w zamian (czyż nie robi się tego jeszcze ciągle w modlitwach?!). W ostateczności «złożę ofiarę» — dam panu X prezent lub pieniądze za jego usługę! Czyż nie są to praktyki magiczne?

To, co upodabnia mnie do zaklinacza deszczów, co czyni nas pełnokrwistymi przedstawicielami jednego i tego samego gatunku — to dwie rzeczy: (1) myślenie życzeniowe i (2) przekonanie, że aby urzeczywistnić życzenia, wystarczy w odpowiedni sposób wypowiadać odpowiednie egzemplarze zdań odpowiedniego języka. Istnieje jeszcze trzecia, która czyni to podobieństwo wyrazistszym. Jest nią ignorancja. Zaklinacz deszczów nie wie nic o meteorologii, a ja nie mam zielonego pojęcia o tym, co dzieje się na synapsach (gdyby ktoś wymienił panu X mózg na trociny, nawet bym tego nie zauważył). Po co mamy interesować się takimi sprawami, skoro wierzymy, że wystarczy wytworzyć odpowiedni egzemplarz odpowiedniego zdania. Przecież można mieć wszystko, co się chce za sprawą zwykłego „Niech się tak stanie".

To co odróżnia mnie od zaklinacza deszczów, to skuteczność. Mnie się udaje, a jemu nie. Skuteczny czarnoksiężnik nie traci jednak tytułu do tego miana. Raczej go nabywa!

Wszystko co napisałem powyżej nie znaczy jednak, że ja, Tadeusz Skalski, człowiek żyjący pod koniec drugiego tysiąclecia, wierzę w działanie *sił nadprzyrodzonych*. Jest przeciwnie. Potulnie akceptuję tzw. *superweniencję* wraz z wszystkimi jej konsekwencjami (a wiele spośród nich poraża swym materialistycznym urokiem) i jestem mocno przekonany, że to, co zaszło pomiędzy mną a panem X, nie naruszyło ani jednego tzw. *bazowego prawa fizyki*; przeciwnie — wszystko to działo się zgodnie z nimi; od początku aż do końca. Dlaczego zatem twierdziłem i twierdzę, że tym razem nauka przegrywa z magią i że trzeba byłoby dopiero jakiegoś przyrodnika-demona, aby mi dorównał? Tym razem postaram się znacznie jaśniej wytłumaczyć, co miałem i mam na myśli. Wyreżyserujmy «bezpośrednie starcie» i niech wygra lepszy.

Walka będzie się toczyć pomiędzy mną, Tadeuszem Skalskim (w skrócie TS), a Resztą Świata (w skrócie RŚ). Do RŚ należą najwybitniejsi specjaliści z różnych dziedzin, a w szczególności ci, którzy w jakikolwiek sposób zajmują się mózgiem lub sztuczną inteligencją. Teraz — uwaga! Jest to ważny punkt regulaminu. Do RŚ nie mogą należeć i nie należą ludzie, którzy choć trochę znają język polski. Ograniczenie to nie osłabia jednak potencjału naukowego RŚ. Załóżmy, że wśród ludzi nie znających polskiego istnieją w każdej z interesujących nas dyscyplin co najmniej równie dobrzy specjaliści, co wśród ludzi znających ten język (wiem, że to nieprawda i przepraszam wszystkich wybitnych specjalistów znających język polski). W zawodach, które odbędą się już za chwilę, RŚ może korzystać z wszelkich zdobyczy nauki i techniki; z wszelkich aparatur, urządzeń, baz danych itd., itd. TS zdany jest tylko na siebie. Czy można sobie wyobrazić większą dysproporcję sił i środków?! TS, aby

wygrać, musiałby chyba czarować! Co jednak będzie przedmiotem rywalizacji? Otóż, bierzemy pod uwagę pewnego pana X, znającego tylko język polski! Jest to kolejne kluczowe założenie. Dla ustalenia uwagi załóżmy, że dzisiaj jest wtorek i że rozpoczyna RŚ.

Zadanie, które otrzymuje RŚ jest następujące. Należy zrobić coś takiego, tu i teraz, żeby pan X, dokładnie za tydzień, a więc znowu we wtorek, punktualnie o godz. 10, w określonym miejscu wypowiedział zdanie *Posiedzenie senatu zostało odwołane*. Mają na to 15 minut czasu. Poza tym mogą robić, co im się podoba, a naukowcom zagwarantujmy swobodny dostęp do mózgu. Ktoś mógłby powiedzieć: „Nie wiedzą, jak brzmią egzemplarze zdania *Posiedzenie senatu zostało odwołane*, a więc właściwie nie wiedzą, co mają zrobić". Zgoda. Uwzględniamy ten protest. Zaopatrzmy ich więc w dokładny fizykalny opis ruchów, w jakie musi zostać wprawiony aparat artykulacyjny pewnego człowieka, aby jakiś egzemplarz zdania *Posiedzenie senatu zostało odwołane* został poprawnie wyemitowany. Piętnaście minut to za mało, aby zrobić coś takiego? Dajmy im godzinę, dwie, trzy... całą dobę. Niech się naradzają, niech utworzą specjalne sztaby kryzysowe... Czy w ogóle zdołaliby to zrobić? Można w to wątpić.

Teraz pora na TS. Jego tajna broń to zaklęcia lub — jeśli ktoś woli tak to opisać — odpowiednio spreparowane ciągi dźwięków. W przeciągu niecałych 15 minut TS, korzystając ze swych «chałupniczych metod» stroi neurony pana X w pożądany sposób. Zadanie wykonane. W najbliższy wtorek, dokładnie o godz. 10 w ściśle określonym miejscu, pan X wytworzy jeden z egzemplarzy zdania *Posiedzenie senatu zostało odwołane*. I kto jest lepszy, TS, czy naukowcy?

Że to nie fair, bo TS zna język polski, a RŚ nie? Ależ w tym właśnie rzecz. Stroną w tym sporze była przecież wiedza naukowa, a wiedza naukowa nie zależy od tego, jaki kto zna język. Gdyby zaklinacz deszczów «pobił» meteorologów w podobnych zawodach, nie powiedzielibyśmy, że regulamin był niesprawiedliwy, bo zaklinacz ma dostęp do tajemnych zaklęć, a naukowcy nie. Raczej powiedzielibyśmy: no cóż, okazało się, że zaklęcia są skuteczne. On (zaklinacz deszczów) przy ich pomocy rzeczywiście steruje chmurami; widocznie tkwi w nich taka moc!

Przejdźmy do naturalizacji. Zostałem źle zrozumiany. Pisząc, że naturalizację mogliby urzeczywistnić tylko demonidzi, miałem na myśli naturalizację à la Churchland, czyli tzw. *eliminacjonizm*, czyli sytuację, w której wiedza naukowa wypiera cały semantyczny aspekt języka, a naukowcy laików. Uczeni-przyrodnicy powinni się stać skuteczniejsi niż laicy. Rozumiem to dosłownie. RŚ powinna wygrywać z TS nie ucząc się języka polskiego. Dlaczego jednak mieliby nie uczyć się języka polskiego? Dlatego, że jeżeli jedynym sposobem osiągnięcia takiej samej skuteczności byłoby nauczenie się języka polskiego, to oznaczało by to nie mniej ni więcej tylko przyznanie się do porażki.

Wyobraźmy sobie, że meteorolodzy przez jakieś sto lat konkurują z pewnym zaklinaczem deszczów. Załóżmy dalej, że zaklinacz deszczów okazuje się piorunująco skuteczny. Po stu latach meteorolodzy dochodzą do wniosku: Nie mamy z nim żad-

nych szans. My odkrywamy prawa przyrody i staramy się na tej podstawie przewidzieć, gdzie i kiedy spadnie deszcz, podczas gdy on przy pomocy zaklęć po prostu steruje chmurami. Jeżeli chcemy mu dorównać musimy zostać jego uczniami. Niech nas nauczy swych zaklęć. Czy w tej sytuacji nie uznalibyśmy, że to raczej zaklinacz wyparł meteorologów — niż oni jego!

Dopóki bardziej będzie się opłacało (przed wyjazdem do Anglii, Francji, Chin...) uczyć się angielskiego, francuskiego, chińskiego..., niż poznawać kody genetyczne tych ludzi i zgłębiać stan ich neuronów, dopóty przyrodoznawstwo nie wyprze ani tradycyjnej semantyki, ani, jak sądzę, tzw. psychologii zdroworozsądkowej. Rzeczy te, tzn. psychologia i semantyka, są ze sobą ściśle związane.

Czy uczeni-przyrodnicy (ludzie, a nie demonidzi) zajmujący się badaniem żywych organizmów mogą kiedyś osiągnąć ten stopień skuteczności, jaki zapewnia posłużenie się odpowiednim językiem etnicznym? Kilka miesięcy temu oglądałem w telewizji BBC program poświęcony sztucznej inteligencji i karaluchom. Oto scena, która zapadła mi w pamięć. Na specjalnym torze znajduje się karaluch. W organizm karalucha wmontowane jest specjalne urządzenie. W odległości kilku metrów od karalucha wygodnie w fotelu siedzi pewien człowiek. Człowiek trzyma w ręce pilota i przy pomocy tegoż pilota — wciskając odpowiednie guziki — steruje zachowaniem karalucha, tak jak chłopiec steruje zachowaniem samochodziku-zabawki. W lewo, w prawo, do przodu, cofnij się, podskocz itd. Gdyby karaluchy znały język polski (załóżmy to na moment), to człowiek z pilotem pobiłby mnie w zawodach na szybkość i precyzję w strojeniu karaluszych neuronów; zostałbym — ze swą znajomością języka polskiego — wyeliminowany przez naukę. Czy to, co udało się w wypadku karaluchów, jest możliwe w odniesieniu do ludzi? Czy «igły i impulsy» uczonych przyrodników odnajdą pewnego dnia szybsze i pewniejsze ścieżki niż te, którymi podążają odpowiednie egzemplarze zdań pewnego języka etnicznego? Gdy pisałem esej „Koty, demon, zaklęcia... i naturalizacja" sądziłem, że nie; że jest to zbyt trudne. Po obejrzeniu tego programu nie jestem już tego taki pewien. Tyle rzeczy dzieje się teraz tak szybko! Postęp w niektórych dziedzinach jest tak błyskawiczny. Kto wie, być może, pewnego dnia... Jak wyglądałby wtedy świat? Czy w ogóle można to sobie wyobrazić? W każdym razie nauczyciele języków obcych musieliby zmienić zawód.

Dlaczego nie podoba mi się naturalizacja à la Searle, czyli tzw. *emergentyzm*? Dlatego, że jest to po prostu wyznanie filozoficznej wiary nie mające nic wspólnego ze stanem naszej wiedzy o otaczającym nas świecie. Czym są dane wrażeniowe? — emergentną własnością mózgu; a intencjonalność? — też; a świadomość, a subiektywność, a poczucie tożsamości osobowej? — wszystko to są emergentne własności itd., itd. Załóżmy, że ktoś wierzy w realność aniołów. Czym są anioły? Jak to, czym?! Emergentną własnością materii! I w ten sposób anioły zostały (à la Searle) znaturalizowane.

Odpowiadam teraz na zarzut, który nie został sformułowany, ale który łatwo mógłby zostać sformułowany. Pozwoli to lepiej zrozumieć moje stanowisko. Jeżeli przez *strategię magiczną* będziemy rozumieć *myślenie życzeniowe* + *język* (rozumia-

ny jako środek do urzeczywistnienia treści życzenia), to czy mamy uznać, że każdy kto używa komputera posługuje się tą strategią? Tak, oczywiście! Strategia magiczna, to nie jest dla mnie działanie metodami nadprzyrodzonymi... Rzecz w tym jednak, że bardzo długo sądzono, że ktoś, kto jest w stanie urzeczywistniać swe życzenia za sprawą posługiwania się w odpowiedni sposób odpowiednim językiem, musi działać w sposób nadprzyrodzony. Ta oto okoliczność, że strategia życzeniowo-językowa była skuteczna w odniesieniu do ludzi, a poza tym wszędzie i zawsze zawodziła, była wszak — jak się wydaje — jednym z głównych filarów wiary w nadprzyrodzone pochodzenie istot ludzkich i w nadprzyrodzone właściwości języka. Dlaczego ludzie są inni niż cała reszta przyrody? Dlatego, że ludzi *można uprosić* (posługując się odpowiednimi zdaniami odpowiedniego języka), a materialnej przyrody *nie można uprosić* (gdyż jej zachowanie podlega niezmiennym prawom natury). Czyż jeszcze teraz takie właśnie rozróżnienie nie tkwi nadzwyczaj mocno w naszych głowach?

Kilka lat temu rozmawiałem z lekarzem psychiatrą. Człowiek ten jest zatwardziałym materialistą i zdecydowanym przeciwnikiem psychoterapii. Swoją niechęć do psychoterapii uzasadniał powołując się na swój materializm. Oni (psychoterapeuci) usiłują leczyć choroby psychiczne przy pomocy gadania. Choroby psychiczne są jednak chorobami mózgu. Mózg zaś — to organ czysto fizyczny; taki jak wątroba czy nerki. Czy widział pan, by kto kiedy zdołał uleczyć marskość wątroby lub kamicę nerek przy pomocy samego tylko gadania? Przecież to byłaby magia! Innymi słowy, psychoterapeuta zachowuje się tak, jak zaklinacz deszczów, bo usiłuje przy pomocy słów (zaklęć) wpłynąć na bieg materialnej przyrody.

Przekonanie, że słowa nie należą do świata materialnej przyrody, jest jednym z najsilniej i najgłębiej zakorzenionych mitów. „Pora przejść od słów do czynów" — głosi stara mądrość. Ten, kto wypowiada słowa nic nie robi, a w każdym razie nie robi nic takiego, co byłoby samo przez się władne zmienić bieg materialnego świata. Ja nic nie zrobiłem — broni się często dziennikarz — ja tylko opisałem fakty. W wielu krajach świata istnieje wolność słowa; nigdzie nie ma wolności czynów. Gdy dosypuję narkotyku do herbaty pewnemu człowiekowi bez jego wiedzy i zgody, to podlegam karze — naruszyłem w ten sposób nietykalność cielesną drugiej osoby; fizyczną substancją podziałałem na fizyczny mózg. Gdy wytwarzam w mowie lub piśmie egzemplarz zdania „Rozwal wszystko", to nawet jeśli egzemplarz ten znajduje się w zasięgu wzroku lub słuchu innych ludzi nie naruszyłem niczyjej nietykalności cielesnej. W wypadku słów, w wypadku języka liczy się nie ten fizyczny egzemplarz, skłonni jesteśmy mniemać, ale myśl, która się za nim kryje. Egzemplarz zdania — to jakby materialny wehikuł, którym podróżuje niematerialny pasażer: myśl, treść, znaczenie itd. To właśnie ten niematerialny pasażer miałby się odnosić do rzeczywistości pozajęzykowej, być z nią zgodny lub nie itd. Oto teoria języka, która powstaje spontanicznie, niemal odruchowo, gdy zaczynamy myśleć o tych sprawach. Materialistyczna teoria języka wydaje się tak trudna do przyjęcia (a nawet do wyobrażenia) dlatego, że jeżeli materializm miałby być prawdziwy, to pasażera powinno w ogóle nie być. Powinny istnieć tylko materialne wehikuły. Wśród filozofów i uczonych przyrodników

upowszechniła się niewiara w realność *ducha w maszynie*. Gdy jednak w grę zaczyna wchodzić język to natychmiast jedni i drudzy zaczynają mówić o *treściach, znaczeniach, myślach*... Czyż nie jest to wynik bezradności?

Używam określenia „strategia magiczna" ze *względów historycznych* i dlatego, że w dalszym ciągu nie potrafimy obejść się bez pewnych pojęć, a nie dlatego, że wierzę w cuda!

Dlaczego rewolucja informatyczna tak bardzo wstrząsnęła *kartezjanizmem*? Czyż nie dlatego, że udało się wytworzyć artefakty, o których wiadomo na pewno, że nie działają w sposób nadprzyrodzony i które zarazem spełniają życzenia za sprawą wciskania guzików, na których widnieją odpowiednie znaki? Strategia życzeniowo-językowa działa, jest skuteczna, w odniesieniu do komputerów, pralek automatycznych, samochodzików sterowanych przy pomocy pilota itd. Sterowanie chmurami przy pomocy pilota wyposażonego w odpowiednie guziki, na których widnieją odpowiednie znaki-zaklęcia, staje się coraz bardziej realne. Sen czarnoksiężnika ziszcza się na naszych oczach. A przecież wszystko to dzieje się zgodnie z prawami natury. Nie jesteśmy — zdaje się — ulepieni z innej gliny niż cała reszta materialnej przyrody; ani my, ani nasze zaklęcia.

Przechodzę teraz do kwestii, która w moim eseju «zastanawiała mnie najbardziej». Trzeba było setek lat rozwoju nowoczesnego przyrodoznawstwa, niezliczonych eksperymentów i obserwacji, zgodnego wysiłku tysięcy specjalistów z wielu różnych dziedzin itd., itd., aby wytworzyć obiekty spełniające życzenia za sprawą odpowiedniego posługiwania się odpowiednimi znakami. W jaki sposób jednak stało się to po raz pierwszy? Innymi słowy, w jaki sposób prymitywne małpoludy zdołały «ujarzmić» swe mózgi przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków? W cytowanej przed chwilą pracy tylko wybrzydzałem. Teraz spróbuję być pozytywny.

* * *

Języki ludzi od języków zwierząt oddziela prawdziwa przepaść. Zrazu wydaje się ona nie do przebycia. Jeśli jednak język nie spadł z nieba, to pewnego razu pewne istoty rozpoczęły żmudną wędrówkę na drugą stronę brzegu. Odtworzenie, krok po kroku, drogi, którą przebyły, zapewne nie uda się nigdy. Być może jednak zdołamy wskazać miejsce, w którym mogły — w którym powinny — wykonać «pierwszy ruch» wiodący ku ludzkiej mowie. „Gdybym tylko wiedziała od czego rozpocząć...", mówi Alicja, próbująca zmniejszyć swe ciało do rozmiarów umożliwiających jej przedostanie się do zaczarowanego ogrodu. W przedsięwzięciach, które wydają się niemożliwe, pierwszy krok jest zawsze najważniejszy.

Weźmy pod uwagę jakieś prejęzykowe istoty. Niech będą to koczkodany (dlaczego mój wybór padł na koczkodany, wyjaśni się z czasem). Zakładam, że koczkodany spostrzegają wiele różnych rzeczy i że miewają zróżnicowane potrzeby związane z tym, co znajduje się w ich polu widzenia. Koczkodany potrafią też robić różne rzeczy — podnosić patyki, zrywać banany itd. — zaspokajając w ten sposób swe po-

trzeby. Przyjmuję ponadto, że wszystko to jest możliwe bez pojęć i bez języka! Założenia te, jak sądzę, wydadzą się oczywiste ludziom posługującym się zdrowym rozsądkiem i wielu przedstawicielom nauk szczegółowych. Przewiduję jednak gwałtowny sprzeciw filozofów. Wielu współczesnych filozofów, zdaje się, jest przeświadczonych, że to dopiero język, w pewnym sensie (jakże by inaczej!), *stwarza świat*. Nie zamierzam tutaj polemizować z tą osobliwą bajką (biorąc na chybił trafił tekst wyszły spod ręki współczesnego filozofa, łatwo zapoznamy się z jedną z jej licznych wersji; bywa ona metaforyzowana i wysławiana na tysiąc różnych sposobów). Wymagałoby to oddzielnego artykułu. W tej pracy dogmatycznie zakładam, że świat przy pomocy Słowa stwarza tylko Pan Bóg; dziecinnie i naiwnie twierdzę, że dźwięki emitowane przez dwunogie nieopierzone ssaki nie mają takich właściwości (dodajmy — dla pewności — że nie mają ich również znaczki stawiane na papierze).

Przechodzę teraz do sprawy kluczowej. Wszystko, co robią koczkodany, robią przy pomocy rąk i nóg. Aby coś zrobić — wszystko jedno: zerwać banana lub podnieść patyk — trzeba użyć do tego rąk i nóg, posłużyć się własnym ciałem i zużyć olbrzymią ilość bezcennej energii. Nie wiem, czy koczkodany potrafią marzyć. Gdyby potrafiły, niejeden z nich marzyłby zapewne, o tym, aby móc robić różne rzeczy nie ruszając się z miejsca. Wyobraźmy sobie koczkodana, który ma potrzebę zerwania i zjedzenia banana, znajdującego się na szczycie drzewa. Koczkodan wie, jak to zrobić. Zaspokojenie potrzeby wymaga jednak ogromnego wysiłku. Jakaż byłaby to cudowna rzecz, gdyby można było znaleźć się w posiadaniu banana nie ruszając się z miejsca. Czy jest to w ogóle możliwe, czy istnieje jakiś sposób na urzeczywistnienie tego rodzaju marzeń? Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym zwrócić uwagę na to, że gdyby koczkodanom udało się choćby tylko częściowo i połowicznie rozwiązać ten problem, to byłoby to coś naprawdę niezwykłego, wręcz cudownego. Wpływać na odległe rzeczy, nie używając ani rąk, ani nóg! Byłoby to tak niepodobne do wszystkiego, z czym koczkodany miały do czynienia! Powodować realne zmiany w widzialnym świecie nie ruszając się z miejsca?! Kojarzy się to z tajemnymi mocami, czarodziejską różdżką lub systemem zaklęć. Krótko mówiąc z magią. Cóż jednak magia może mieć wspólnego z koczkodanami?

Koczkodany wydają wiele charakterystycznych dźwięków przypominających (dla ludzkiego ucha) krótkie chrząknięcia. Przez wiele lat uczeni zoolodzy nie potrafili dostrzec w tych chrząknięciach nic szczególnego — wszystkie wydawały się takie same. Całkiem niedawno, dzięki użyciu niezwykle czułej aparatury, udało się ustalić, że sekwencje dźwięków emitowane przez koczkodany bardzo się od siebie różnią i że przynajmniej niektóre spośród nich pełnią wiele różnych funkcji (moja wiedza na ten temat pochodzi z: Jared Diamond, *Trzeci szympans*, PIW, Warszawa 1998). Wystarczy, jeśli skoncentruję się na jednym przykładzie. Otóż gdy koczkodany natykają się na lamparta albo na inny gatunek dużego dzikiego kota, samce małp wydają serię głośnych szczeknięć, samice wysoki świergot, a wszystkie małpy znajdujące się w zasięgu głosu uciekają na drzewa. W tym wszystkim nie ma na razie nic dziwnego. Zbliża się lampart. Spostrzega go jedna z małp i wydaje charakterystyczny okrzyk

strachu. Słyszą to inne małpy i jest to dla nich sygnałem do ucieczki. Gdyby koczkodany nie potrafiły nic więcej, to aby opisać ich zachowanie, wystarczyłoby pojęcie bodźca i reakcji. O tym, że jest inaczej, że koczkodany uczyniły milowy krok na drodze do języka we właściwym znaczeniu tego słowa, przekonuje mnie pewien drobny fakt.

Otóż matki koczkodanie wydają niekiedy okrzyk na lamparta, gdy w pobliżu nie ma żadnego lamparta. Czynią to wówczas, gdy ich stado walczy z innym i przegrywa. Fałszywy alarm powoduje taką samą reakcję — jak prawdziwy. Walka ulega przerwaniu i wszystkie koczkodany uciekają na drzewa. Jeżeli przyszłe badania potwierdzą, że koczkodany właśnie w ten sposób potrafią posługiwać się głosem, to należy uznać, że nauczyły się one — jestem zdania, że jest to rzecz zupełnie niezwykła! — robić niektóre rzeczy przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków. Co więcej, nauczyły się one robić takie rzeczy, których nigdy żaden koczkodan nie zdołałby zrobić używając rąk lub nóg. Załóżmy, że pewien koczkodan ma potrzebę umieszczenia w koronach pobliskich drzew kilkunastu swych współtowarzyszy, którzy spokojnie żerują ukryci w trawie. Jak to zrobić, używając do tego celu rąk i nóg? Wszystko, co koczkodany robiły do tej pory, robiły używając kończyn. Używając kończyn nie sposób jednak umieścić kilkunastu małp na szczytach drzew. Czy istnieje jakiś inny sposób? Oczywiście, koczkodany właśnie go odkryły. Należy wyemitować odpowiednio spreparowany ciąg dźwięków. Gdy się to zrobi, wszystkie koczkodany znajdujące się w promieniu działania tego narzędzia wejdą na drzewa.

Jak powstał język, jakie były pierwsze kroki, na czym mogli się oprzeć «wynalazcy» języka? Otóż sądzę, że język powstał (w każdym razie takie były pierwsze kroki) z prób robienia pewnych rzeczy przy pomocy aparatu artykulacyjnego. Hipoteza ta, wydaje mi się, mocno trzyma się ziemi.

Wszystko to wyobrażam sobie mniej więcej tak. Pewne praludzkie istoty żyją we wspólnym, gotowym świecie i umieją już w tym świecie zrobić wiele różnych rzeczy. Świat jest gotowy w tym sensie, że nie jest on plątaniną bodźców (niektórzy filozofowie sądzą, że prejęzykowy świat jest chaosem bodźców i że to dopiero język, niczym demiurg Platona, stwarza drzewa, ptaki, kwiaty lub — lub jeśli akurat takie tkwią w nim moce — frucle, rucle i bartole), ale światem rzeczy posiadających określony wygląd i trwających w czasie. Praludzie budząc się zastają ten sam świat, w którym znajdują się te same rzeczy. Jest on wspólny i jedyny z wielu różnych względów, ale nade wszystkim dlatego, że jest to świat, w którym żyje się bardzo trudno i potrzeb jest zawsze więcej niż obiektów mogących je zaspokoić Praludzie umieją w tym wspólnym i gotowym świecie zrobić wiele różnych rzeczy: podnosić patyki, zrywać banany, zwrócić wzrok w kierunku drapieżnika i obserwować jego zachowanie itd., itd. Dla praludzi różnica pomiędzy robieniem a wydarzaniem się lub zachodzeniem jest oczywista i konstatowana automatycznie. Deszcz się wydarza, zerwanie banana należy do kategorii robienia; swędzenie się wydarza, podrapanie się w swędzące miejsce to zrobienie czegoś itd., itd. Gdyby dla praludzi rozróżnienie to nie było oczywiste i automatyczne, to nie byliby żywymi istotami, ale rzeczami. Nie byliby

zresztą w stanie przetrwać. Aby przeżyć trzeba stale coś robić — jeść, pić, wspinać się na drzewa, obserwować uważnie otoczenie, uciekać przed drapieżnikami, unikać ognia itd., itd. Praludzie rodzą się z umiejętnością robienia pewnych rzeczy (tj. osiągając pewien stopień dojrzałości zaczynają je po prostu robić); robienia innych rzeczy uczą się przy aktywnej pomocy ze strony dorosłych osobników (tak jak wilki lub lwy uczą się polować). Istnieją wreszcie pewne rzeczy, których pewien osobnik — inteligentniejszy od innych — może się nauczyć sam. Jeżeli tak się stanie, to pewien praczłowiek umie robić rzeczy, których nikt inny zrobić nie potrafi. Do tej pory obywamy się bez języka. Ktoś jednak mógłby postawić nam zarzut, że usiłujemy przemycić język pod postacią robienia. Jeżeli ktoś coś robi, to musi mieć zamiary, chcenia, snuć plany, te zaś zakładają określoną treść, a treść — język. Nie sądzę, aby miał rację. Nie pozwólmy sobie wszystkiego zasłonić językiem wraz z wszystkimi zgubnymi konsekwencjami tego dziwacznego pomysłu. Aby to, co opisuję, było możliwe wystarczy gotowy świat i naturalne, właściwe zwierzętom potrzeby. Gotowy świat rodzi zresztą potrzeby i rozwija zainteresowania. Jeżeli w polu widzenia szympansa umieścimy nowy, nieznany mu obiekt, np. puszkę po piwie, to wzbudzi on jego zainteresowanie. Będzie on go obserwował, a w końcu spróbuje wziąć do ręki; jeżeli okaże się, że nie można tego zrobić w zwykły sposób, posłuży się patykiem. Nie jest potrzebne do tego pojęcie patyka, sięgania itd.; ani nie jest potrzebny zamiar z określoną w ludzkim bądź małpim języku treścią. Wystarczy gotowy, budzący zainteresowanie świat i właściwa małpom ciekawość. Jak dotąd, obywamy się bez języka!

Wśród rzeczy, które robią praludzie, niektóre są dość szczególnego rodzaju. Należą do nich między innymi okrzyki lub sekwencje dźwięków emitowane przez praludzi przy różnego rodzaju okazjach — okrzyk strachu, bólu, zdziwienia itd. Niektóre spośród tych okrzyków pełnią bardziej wyspecjalizowane funkcje i emitowane są w ściśle określonych okolicznościach. Należy do nich między innymi (zapożyczmy się u koczkodanów) «okrzyk na lamparta». Gdy zbliża się lampart, a pewien praczłowiek spostrzeże go, to emituje charakterystyczny okrzyk na lamparta i wszyscy praludzie znajdujący się w zasięgu głosu uciekają na drzewa. Do tej pory nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Bodziec — reakcja, bodziec — reakcja. Praczłowiek wyemitował charakterystyczny okrzyk na lamparta pod wpływem charakterystycznego strachu przed lampartem, a okrzyk ten z kolei spowodował charakterystyczną reakcję u współtowarzyszy. Rzecz ciekawa i kluczowa wydarzy się, gdy pewnego razu pewien praczłowiek, przez przypadek lub dlatego, że bawił się swoimi strunami głosowymi wyemituje okrzyk na lamparta, gdy w pobliżu nie ma żadnego lamparta. Reakcja, jak zwykle, jest natychmiastowa: wszyscy praludzie uciekają na drzewa; wszyscy — poza jednym. Jeden spośród praludzi — ten, który wyemitował okrzyk na lamparta — pozostał na dole. Jest nieco zdziwiony, ale spokojnie siedzi na trawie. Co właściwie takiego się stało? W pobliżu nie ma przecież żadnego lamparta?! To, co się zrobiło raz, można łatwo zrobić po raz drugi. Po godzinie nasz praczłowiek znowu emituje okrzyk na lamparta i znowu to samo — wszyscy poza nim uciekają na drzewa. Następnego dnia powtarza eksperyment kilkakrotnie i za każdym razem to samo —

wszyscy uciekają na drzewa. Teraz już nawet nie odczuwa zdziwienia. Tak, to on to robi! On powoduje panikę i umieszcza w koronach drzew wszystkich swych współtowarzyszy. Nie jest potrzebny do tego lampart ani charakterystyczny strach przed lampartem. Teraz może już to robić niespiesznie i, rzec można, na chłodno, tak jak się zrywa banana lub podnosi patyk. Jakże wspaniałą umiejętność posiadł, jakże niezwykłą rzecz nauczył się robić. To, co zrobił, robi się jakoś zupełnie inaczej. Nie przy pomocy rąk i nie przy pomocy nóg. A jednak efekt jest piorunujący. Można w ten sposób zrobić coś, czego nigdy nie można byłoby zrobić przy pomocy rąk. Wysiłek jest tak niewielki, a skutek olbrzymi. A jest przecież tyle innych okrzyków: «na węża», «na lwa», «na niedźwiedzia», «na innych praludzi» itd.

Robienie czegoś przy pomocy aparatu artykulacyjnego odznacza się jeszcze jedną osobliwością. Można wytworzyć okrzyk na lamparta lub na węża po cichu, szeptem. Robi się wówczas właściwie to samo, co przedtem, ale nie wywiera to żadnego wpływu na zewnętrzny świat. A przecież można zrobić to samo jeszcze jakoś ciszej, bezgłośnie, gdzieś bardzo głęboko. Można w ten sposób trenować (np. przed zaśnięciem) okrzyk na lamparta, na węża, na innych praludzi itd. Niby nic się nie dzieje; nic nie słychać, ani nie widać. Praczłowiek jednak wie, że coś robi i wie, że robi coś ważnego: coś, co potencjalnie zawiera w sobie ogromną siłę. Wystarczyłoby zrobić to samo z większą intensywnością, głośno, a świat od razu uległby zmianie.

Praczłowiek, robiąc bezgłośnie, gdzieś głęboko okrzyk na lamparta, właściwie wie co robi, bo wie, co by się stało gdyby go zrobił głośno. Potrafi jednak zatrzymać to dla siebie, trzymać w pogotowiu to, co być może za chwilę zrobi głośno. Chciałoby się powiedzieć: on już to właściwie zrobił, jest to gotowy produkt, nadający się w zasadzie do tego, żeby, odpowiednio się nim posłużywszy, «zagrać na strunach głosowych» okrzyk na lamparta. Zresztą jeśli on nie chce tego zrobić, jeśli nie wykonuje tego ostatniego kroku, to, w zasadzie, moglibyśmy go w tym wyręczyć. Moglibyśmy podłączyć gdzieś do mózgu lub do neuronów syntezator mowy i wykrzyczeć na jakichś artefaktach to, co on trzyma w ukryciu.

Sądzę, że właśnie takie już wytworzone, ale jeszcze nie wykrzyczane okrzyki na lamparta, węża itd. mogły stać się zaczątkiem tego, co zwykliśmy nazywać „myślami". Wyobraźmy sobie, że pewien praczłowiek potrafi wytworzyć bezgłośnie wiele takich okrzyków: na lamparta, na węża, na innych praludzi itd. Nie wykrzykuje ich, ale trzyma gdzieś w pogotowiu. Jest to jego «tajna broń». To, czy się nią posłuży, zależy od wielu różnych okoliczności.

Załóżmy, że pojawia się wiele osobników, które dysponują taką tajną bronią. Wielu różnych praludzi potrafi wytwarzać takie okrzyki i nie ujawniać ich. Nietrudno sobie wyobrazić sytuację, w której dla osobnika *A* zaczyna być istotne (niekiedy może to być kwestią życia lub śmierci), jakie okrzyki znajdują się w głowie osobnika *B*. Dla członków stada zaczyna być ważne tzw. *życie wewnętrzne* współtowarzyszy.

Czym jest jednak treść? Czym jest np. treść okrzyku na lamparta? Cóż tu jednak można powiedzieć? Jeżeli ktoś nie jest wszechwiedzącym demonem, to chyba tylko tyle: treść okrzyku na lamparta, w obrębie rodzącej się właśnie wspólnoty językowej,

to coś, co gdyby zostało wykrzyczane, spowodowałoby ucieczkę wszystkich praludzi znajdujących się w zasięgu głosu na drzewa. Ale czy okrzyk na lamparta oznacza lamparta, czy go jakoś dotyczy? Czy okrzyk na lamparta opisuje świat? Przypomnijmy rzeczy oczywiste. Okrzyk na lamparta — to platońska fikcja. Istnieją tylko egzemplarze tego okrzyku. Różne egzemplarze tego okrzyku są wytwarzane w nader różnych okolicznościach. Gdybyśmy posiadali dostatecznie dużą wiedzę, to być może niektóre spośród tych egzemplarzy przetłumaczylibyśmy na *Uwaga, lampart!*, inne na *Wszyscy na drzewa!*, jeszcze inne na *Pójdziemy na drzewa?* Trudno przewidzieć, w jakim kierunku będą ciążyć przyszłe egzemplarze. Okrzyk na lamparta może wyrosnąć na opis, ostrzeżenie, propozycję, rozkaz, który w przyszłości będzie wydawać jakiś przewodnik stada itd., itd. Na tym etapie rozwoju języka wszystkie opcje są możliwe. Niezależnie jednak od tego, jak bardzo okrzyki na lamparta, na węża itd. różniłyby się od w pełni wykształconych języków etnicznych, to, w mojej opinii, pewien niesłychanie ważny etap na drodze wiodącej ku ludzkiej mowie został pokonany. Okrzyki te, artykułowane przez praludzi, nie pełnią już tylko funkcji ekspresyjnej i sygnalizacyjnej. Stały się one narzędziami, którymi można się posługiwać na chłodno, z premedytacją. Szlak wiodący ku strategii życzeniowo-językowej został przetarty.

* * *

Ale co z intencjonalnością?! Co z tzw. *treściami*, co z *oznaczaniem*? Spójrzmy teraz na interesujące nas tutaj kwestie od nieco innej strony, a mianowicie od strony dziecka, które uczy się właśnie pierwszego języka etnicznego.

Załóżmy, że dziecko już widzi, i identyfikuje (przy pomocy wzroku) obiekty znajdujące się w jego polu widzenia i potrafi robić wiele różnych rzeczy — wziąć ulubioną zabawkę z półki, przenieść określony obiekt z miejsca na miejsce itd. Załóżmy, że teraz uczymy je języka. Robimy to w następujący sposób. W polu widzenia dziecka znajduje się wielki ekran, na którym widnieje obraz przedstawiający różne obiekty — są tam misie, lalki, kredki itd. Jeżeli dziecko dotknie któryś z tych obiektów-ikonek palcem, to zostaje on podświetlony i zaczyna drgać. W tym momencie rozpoczyna się nauka języka. Dziecko umie już aktywizować ikonki przy pomocy rąk; teraz chodzi o to, żeby nauczyło się robić to samo przy pomocy aparatu artykulacyjnego. Przyjmijmy, że dziecko jest w stanie już artykułować pewne dźwięki i że uczymy je wymawiać słowo „lala". Gdy dziecko poprawnie wymówi słowo „lala", lala przedstawiona na ekranie aktywizuje się — zostaje podświetlona i zaczyna drgać. Gdy dziecko po raz pierwszy wymówi słowo „lala", można przyjąć, że po raz pierwszy coś zrobiło głosem — zaktywizowało lalę. Lalę na ekranie można «dotknąć» odpowiednio spreparowanym dźwiękiem. Moglibyśmy powiedzieć, że dziecko po raz pierwszy *odniosło* słowo „lala" do lali na ekranie! Nie ma w tym nic osobliwego. Jest to tym razem czysto fizyczna relacja. Podobnie jak można, odpowiednio pokierowawszy ręką, dotknąć ekranowej lali palcem, tak też można, odpowiednio pokiero-

wawszy aparatem artykulacyjnym, dotknąć jej głosem. Jeżeli zaczynamy to rozumieć w ten sposób, to relacja referencji traci wiele ze swej tajemniczości.

Ktoś mógłby oponować. Świat to nie ekran komputera. Rzeczywistej lali nikt nie podświetla... Nie miałby jednak racji. Gdy dziecko uczy się pierwszego języka etnicznego, to rolę ekranu komputera pełni społeczność językowa, do której dziecko należy. Czyż nie potrząsamy lalą, misiem, bananem..., czyż nie «podświetlamy» tych obiektów, gdy dziecko, omijając różne «fonetyczne przeszkody» trafi do nich po raz pierwszy swym głosem?

Gdy dziecko po raz pierwszy dotknie lalę palcem, to nikogo to nie interesuje. Gdy jednak dziecko po raz pierwszy dotknie jej przy pomocy odpowiednio spreparowanej fali głosowej, to natychmiast wkraczają filozofowie ze swą szaleńczą problematyką. Do czego dziecko odniosło słowo „lala"? Do lali czy do nieoddzielalnej części lali? Być może do wiśni na drzewie lub (któż to sprawdzi?!) do kota na macie itd. (Filozoficzne aluzje dotyczą przede wszystkim prac Willarda v.O. Quine'a i Hilarego Putnama. Nie będę ich wyjaśniał ani rozwijał. Filozofowie i tak wiedzą, o co chodzi, a dla nie-filozofów byłaby to męczarnia.) Pytania te uchodzą za głębokie i filozoficzne. Trudno jednak zrozumieć dlaczego cała głębia filozoficzna miałaby się skupić w strunach głosowych, a ręce i nogi miałyby być jej całkowicie pozbawione.

Załóżmy, że dziecko po raz pierwszy wyartykułowało dźwięki „Podaj lalę!" i że w pobliżu znajduje się matka, która podaje lalę. Tym razem filozof języka zapragnąłby zapewne wprowadzić w krąg naszych rozważań pojęcie *znaczenia* lub *treści* zdania, a z czasem, być może, pojęcie *możliwego świata*. Nie będę się w tej chwili zajmować kwestią, czy możemy się w ogóle obejść bez tych bytów. Jest to osobna sprawa. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na rzecz następującą. Gdy dziecko po raz pierwszy weszło w posiadanie lali za sprawą wyartykułowania dźwięków „Podaj lalę!", to nie zaszło nic szokująco nowego. Nie został przekroczony żaden Rubikon, ani nie pojawiła się żadna zagadka, której dna nie widać. Dziecko już wcześniej umiało przecież wchodzić w posiadanie lali — używało w tym celu rąk. Teraz weszło w posiadanie lali, używając strun głosowych. Czy jest to aż tak wielka różnica?

Czy małpa zerwała banana, czy też nieoddzielalną część banana, a może kota na macie? A co zjadła? Pytania te są tak dziwaczne, że nie zadają ich nawet filozofowie. Gdyby jednak małpa *A*, emitując odpowiednio spreparowane dźwięki, wpłynęła na małpę *B* w taki sposób, że ta zerwałaby dla niej banana, to, o ile dobrze rozumiem, problem ten powinien się już pojawić. Załóżmy więc, że małpa *A* nauczyła się strącać banany przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków i nie jest jej potrzebne pośrednictwo drugiej małpy (jest to w końcu pewien przypadek, że ewolucja nie doprowadziła do powstania takich istot). Czy tzw. *problem odniesienia przedmiotowego* przetrwałby tę próbę? A jeżeli nasza małpa zrywałaby banany już to przy pomocy rąk, już to przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków, na przemian? No cóż, trzeba byłoby przyjąć, że ten głęboki problem filozoficzny już to się pojawia, już to znika i to w zależności od tego, czy małpa używa strun głosowych — czy rąk.

Znaczna część filozoficznych dziwactw związanych z językiem jest, moim zdaniem, następstwem nieszczęsnego pomysłu, że język w pewnym sensie stwarza świat. Jeżeli znajdujemy się pod wpływem tego mitu, to nie możemy sobie w żaden sposób wyobrazić ani jak ktoś mógłby się nauczyć pierwszego języka etnicznego, ani — tym bardziej — w jaki sposób język mógł powstać. Nie mam tutaj ani miejsca, ani czasu, ani chęci na analizę i krytykę tej osobliwej bajki. (Pod pewnymi względami przypomina ona inną bajkę, a mianowicie bajkę, że świat «zrobiony jest z wrażeń». Przedtem — zasłona z wrażeń, teraz — zasłona z języka; bo za tym dyskursem jeszcze jeden dyskurs.) Proponuję przyjąć w tej pracy dogmatycznie i na próbę (jeśli czyta mnie jakiś filozof; poza środowiskami filozoficznymi bajka ta i tak nie ma żadnej siły przekonywania), że nim dziecko rozpocznie naukę pierwszego języka, to już żyje i działa w gotowym świecie. Jest to ponadto ten sam świat, w którym żyją ludzie dorośli — ci, którzy znają już język. Prejęzykowe dzieci i dorośli widzą te same obiekty i biorą do rąk te same obiekty (niekiedy walczą o jeden i ten sam obiekt i wyrywają go sobie z rąk). Nauka języka polega nie na stwarzaniu świata, ale na pokazaniu dziecku, w jaki sposób język zazębia się z gotowym już światem; na pokazaniu, w jaki sposób — artykułując odpowiednie dźwięki — można wpłynąć na zachowanie innych ludzi oraz, za ich pośrednictwem, na określone rzeczy. Jeżeli spojrzymy na naukę pierwszego języka w ten sposób, to proces ten traci wiele ze swej tajemniczości. Prejęzykowe dzieci umieją już przecież robić wiele rzeczy: wziąć lalkę z półki, włożyć smoczek do ust itd. — robiąc je zaspokajają swe różnorakie potrzeby. Teraz uczą się robienia pewnych rzeczy przy pomocy aparatu artykulacyjnego. Gdy dziecko mówi „Podaj lalę!", a lala wędruje do jego rąk, to można przyjąć, że dziecko wpłynęło w określony sposób na świat rzeczy, używając w tym celu aparatu artykulacyjnego. Czy stało się coś tajemniczego? Dziecko przecież już wcześniej umiało wejść w posiadanie lali. Używało swych rąk. Teraz posłużyło się aparatem artykulacyjnym. Czy jest to aż taka wielka różnica? Ktoś mógłby powiedzieć, że różnica polega na tym, że za drugim razem niezbędne jest pośrednictwo matki. Uczyńmy więc matkę na moment niewidzialną. Tym razem z punktu widzenia dziecka wyglądałoby to tak. Lalę można wziąć w różny sposób: rękami, nogami i nawet — okazuje się — przy pomocy strun głosowych. W tym wypadku nie jest jednak ważne, *jak się coś robi*, tylko *co się robi*. W każdym razie, jeżeli jest tu jakiś problem zwany *problemem intencjonalności*, to pojawia się on już wtedy, gdy dziecko po raz pierwszy sięgnie ręką po smoczek.

Ktoś mógłby powiedzieć: ułatwiasz tu sobie nadmiernie zadanie. Usiłujesz zredukować język do robienia różnych rzeczy przy pomocy aparatu artykulacyjnego, a robienie przy pomocy aparatu artykulacyjnego do robienia jakby przy pomocy rąk. Intencjonalność języka polega jednak na tym, że odnosi się on do rzeczy, z którymi nie mamy bezpośredniego, fizycznego kontaktu. Weźmy np. słowo „księżyc". Księżyca nie można wziąć w rękę, ani dotknąć palcem; nie można też nic zrobić z księżycem przy pomocy egzemplarza jakiegoś zdania w którym występuje to słowo. Mówię „Podaj księżyc!", „Przesuń księżyc!" i nic z księżycem się nie dzieje. Nie mogę nic

zrobić z księżycem ani przy pomocy rąk, ani za pośrednictwem innych ludzi, przy pomocy odpowiednio spreparowanych dźwięków, a jednak mimo to słowo „księżyc" (czy też różne jego egzemplarze) oznacza księżyc. Czy nie wynika stąd, że tym razem jest to jakaś dziwna, niefizyczna relacja? Bynajmniej. Nie wydaje mi się też, żeby rozpatrywany właśnie wypadek różnił się zasadniczo od rozpatrywanego wcześniej. Nie wszystko, co robimy, robimy przy pomocy rąk. Załóżmy, że jest noc i że księżyc jest dobrze widoczny. Podnoszę głowę do góry i zwracam ją w kierunku księżyca. Widzę księżyc. Czy coś zrobiłem? Oczywiście. Ale czy coś zrobiłem z księżycem? Można powiedzieć, nieco metaforycznie, że dotknąłem go oczami. A więc jednak nie bezpośrednio — jak lalę. Cóż tu jednak znaczy bezpośrednio? Księżyc wysyła (odbite) promienie, właśnie z nimi weszły w kontakt moje oczy. Właśnie w ten sposób dotyka się oczami różnych obiektów. Księżyc się jednak od tego nie zmienił? Co to ma za znaczenie. Gdybym musnął palcem litą skałę, ta też nie uległaby zmianie. To, co się liczy, to fakt, że ja to zrobiłem i że jestem tego świadom. Dotknąłem oczami księżyc, tak jak się palcem dotyka lalę, i poczułem go oczami (tzn. widzę go; jest żółty), tak jak palcem czuję lalę (dotykam jej; jest gładka i chłodna). Załóżmy teraz, że małe dziecko (wyrażające się niekiedy w śmieszny sposób) zwraca się do matki i mówi „Dotknij oczami księżyc!", a następnie „Dotknij palcem lalę!", a w chwilę później „A teraz dotknij ją oczami!". Czy nie jest to stale to samo z interesującego nas punktu widzenia? I co by to miało za znaczenie, gdyby dziecko z czasem zaczęło mówić „Spójrz na księżyc!", „Spójrz na lalę!". Sądzę, że dziecko uczy się trafiać słowem „księżyc" w księżyc tak samo, jak uczy się trafiać słowem „lala" w lalę. Rolę ekranu komputera odgrywają dorośli, którzy swym zachowaniem — gdy dziecko omijając różne fonetyczne przeszkody i pułapki po raz pierwszy, drugi, trzeci itd. poprawnie wyartykułuje to słowo — «podświetlają księżyc». Oczywista, to wszystko jest możliwe pod warunkiem, że istnieje gotowy i wspólny księżyc. Jeżeli język miałby dopiero stwarzać księżyc z bodźcowego prachaosu, to trzeba byłoby wracać do czasoprzestrzennych przekrojów, wiśni na drzewie i kota w butach.

To już ostatnie uwagi. Ja nie twierdzę, że wszystkie fenomeny związane z w pełni rozwiniętym językiem etnicznym można zredukować do robienia różnych rzeczy przy pomocy aparatu artykulacyjnego. Ja sugeruję tylko, że właśnie takie mogły być początki języka. Jest wielce prawdopodobne, że język wyrastał z już posiadanych umiejętności i jakoś się wokół nich oplatał. Nim powstał język, istniał gotowy świat, potrzeby i umiejętność zaspokajania tych potrzeb. Nim powstał język, praludzie umieli już robić wiele różnych rzeczy. Robili je używając rąk i nóg. Idea zrobienia czegoś była więc dla nich oczywista. W pewnym momencie zaczęli robić pewne rzeczy przy pomocy aparatu artykulacyjnego. Był to, oczywiście, rewolucyjny przełom. Gdy małpa *A* po raz pierwszy wysłała małpę *B* po banana, to było to coś nowego i niezwykłego. Rzecz jednak w tym, że nie wydarzyło się nic takiego, co przekraczałoby «horyzont myślowy» małpy *A*. Przecież już wcześniej umiała ona wejść w posiadanie banana — używała w tym celu swych rąk i nóg. Tym razem posłużyła się strunami głosowymi. W świecie, w którym żyła małpa *A*, w trudnym i niebezpiecz-

nym świecie, liczyły się jednak przede wszystkim dwie rzeczy: punkt wyjścia, czyli potrzeba, i końcowy efekt. Narzędzie było mniej ważne. Ręce, nogi, patyk, struny głosowe — co za różnica! Istotne, że jest banan i można go zjeść. Gdyby małpa *A* umiała filozofować, nie pojawiłby się też dla niej w tym momencie żaden problem, który nie istniałby już wcześniej. A w szczególności nie pojawiłby się tzw. problem odniesienia przedmiotowego języka. Wszak małpa *A* nie szukała świata dla gotowego języka! (Świata dla gotowego języka szuka ktoś, kto zajmuje się teorią modeli lub stara się domyśleć tzw. *ontologii* jakichś mętnych spekulacji.) Ona (małpa *A*) mozolnie, w trudzie i bólu, metodą niezliczonych prób i błędów szukała narzędzia, które pozwoliłoby jej szybciej, lepiej i przy znacznie mniejszym ubytku energii żyć i trwać w gotowym świecie, w świecie który istniał (dla niej) wcześniej i w którym była już bardzo dobrze zadomowiona. Gdy udało jej się wreszcie «zagrać na strunach głosowych» tę właściwą melodię i małpa *B* przyniosła jej banana, to jedyną nową rzeczą była właśnie ta melodia. Potrzeba zjedzenia banana, małpa *B* i sam banan istniały od dawna.